ŁAD BOŻY

TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

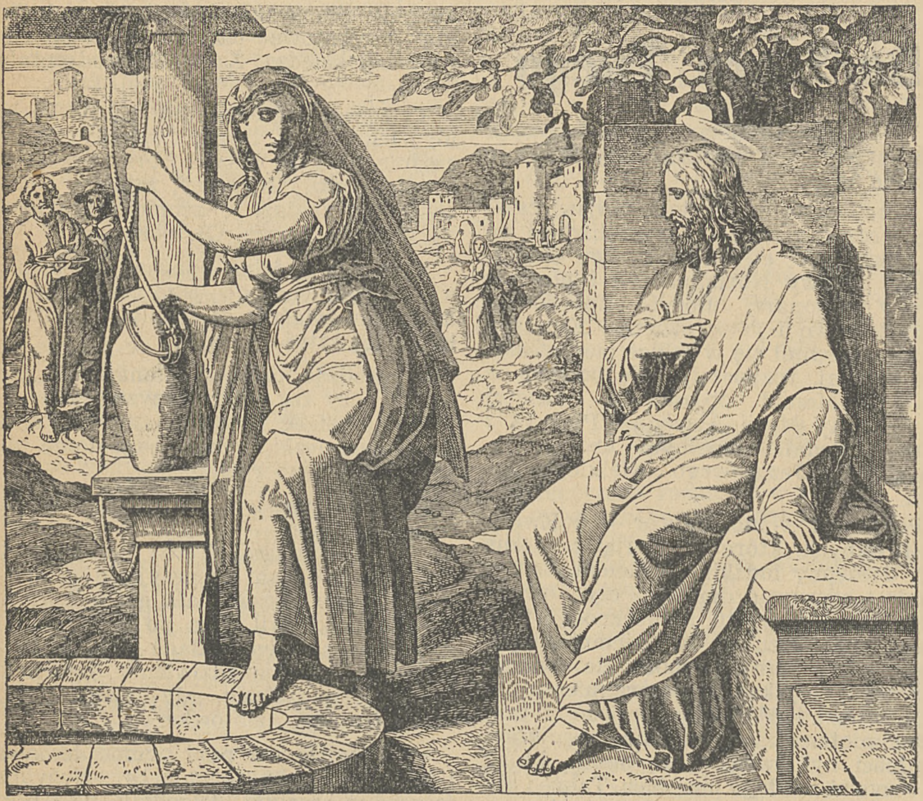
Rok 8 — Nr 23 (326) Włocławek, 15 czerwiec 1952 r. Cena 50 gr

EWANGELIA

na drugą niedzielę po Ziel. Świątkach

(Św. Łukasz 14, 16—24)

Onego czasu: Powiedział Jezus faryzeuszom tę przypowieść: Człowiek pewien zgotował wieczerzę wielką i wezwał wielu. I posłał sługę swego w godzinę wieczerzy, aby powiedział zaproszonym, żeby przyszli, bo już wszystko gotowe. I poczęli się wszyscy społem wymawiać. Pierwszy rzekł mu: Kupiłem wieś i koniecznie muszę pójść, a obejrzeć ją; proszę cię, miej mnie za wymówionego. A drugi rzekł: Kupiłem pięć par wołów i idę ich próbować; proszę cię, miej mnie za wymówionego. A inny powiedział: Żonę pojąłem, a przeto nie mogę przyjść. I wróciwszy ów sługa oznajmił to panu swemu. Wtedy rozgniewany gospodarz rzekł do sługi swego: Wynijdź rychło na ulicę i na drogi miejskie, a ubogich i ułomnych, i chromych, i ślepych wprowadź tu. I rzekł sługa: Panie, stało się, jak rozkazałeś, a jeszcze jest miejsce. I rzekł pan do sługi: Wynijdź na drogi i opłotki, a przymuszaj do wejścia, aby dom mój był zapełniony. A powiadam wam, że żaden z owych mężów, którzy byli zaproszeni, nie zakosztuje wieczerzy mojej.



Jezus i Samarytanka

MODLITWA KOŚCIOŁA

Wyżej niż modlitwa jednostki, wyżej niż modlitwa rodzinna stoi modlitwa Kościoła. Kościół podejmuje prośby wierzących, wyraża je boskimi słowami i zanosi do tronu Boga samego. Trudno jest wysłowić piękność i potęgę modlitwy Kościoła. Czuć w niej drgające wszystkie struny zdolne wzruszyć serce Boga, a rozczulić serca ludzkie. Odzywa się to z szlachetną ufnością królewskiej oblubienicy, pewnej, że będzie wysłuchaną. Jakże Bóg mógłby pozostać głuchym na takie prośby? Ludzie nie mogą się im oprzeć.

Jak w ziemskich koncertach słychać czasami w chóralnym śpiewie przedziwny i porywający tenor, panujący nad innymi glosami, tak i w śpiewach Kościoła chrześcijanin wyróżnia głos Jezusa Chrystusa, modli się z Nim i w Nim. Zanim ten chwalebny Zbawiciel opuścił ziemię, dał świętej swej Oblubienicy Ducha łaski i modlitwy, ażeby modły Kościoła godne były wysłuchania i wzniosły się do Boga.

Duch ten trwa zawsze w Kościele i prosi za nami wzdychaniem niewymownym. Z tego powodu modlitwa Kościoła jest szacowną nawet w oczach Boga; On ją czuł i zawsze wysłuchuje.

ANKIETA W SPRAWIE POWOŁAŃ KAPŁAŃSKICH

Ks. John Campbell S.J. opublikował ostatnio w czasopiśmie America (19.I. 1952) wyniki ankiety, którą rozpisał wśród 1200 uczniów katolickich szkół średnich, na temat powodów zmniejszania się powołań kapłańskich. Ks. Campbell otrzymał odpowiedzi od 900 uczniów. 300 z nich sądzi, że życie kapłańskie jest zbyt ciężkie, zwłaszcza jeżeli chodzi o zrezygnowanie z posiadania własnej rodziny. 600 natomiast uważa, że nieodzownym warunkiem powołania jest pewien „wewnętrzny głos" lub jakiś inny nadzwyczajny „znak". Bez tego — jak błędnie sądzą — nie można mieć pewności co do swego powołania. Uczniowie ci wskazali ponadto na inne jeszcze trudności jak np. opór rodziny, obawa przed samotnością etc. Ks. Campbell podkreśla, że młodzież amerykańska, jak to wynika z ankiety — nie zdaje sobie dostatecznie jasno sprawy z różnicy powołania na kapłana świeckiego i zakonnego.

Gwałtownicy

Jan Dobraczyński, w jednej z ostatnich swoich książek, zwraca uwagę na wspólną cechę łączącą dzieła dwóch pisarzy, która później staje się naczelnym zagadnieniem literatury katolickiej, a mianowicie na problem świętości.

Bloy pierwszy odkrył, że może istnieć zakłamanie wewnątrz katolicyzmu i że tajemnica „nieskuteczności" zawiera się zawsze w jego niepełności, jego „szyldowości", w jego odejściu od własnej swej istoty.

Bloy pojął raczej instynktem i osobistymi doświadczeniami niż wiedzą, jak strasznymi skutkami grozi katolicyzmowi związek z liberalistyczno-kapitalistycznym ustrojem społecznym i nie zawahał się napiętnować najostrzejszymi słowami ohydy moralnej „burżujstwa".

3 listopada 1917 roku umierał wieczny nędzarz — Leon Bloy, w całkowitym odosobnieniu, którego wielka twórczość pominięta była zupełnym milczeniem przez współczesną Francję.

Całe jego życie, jako pisarza i literata, to walka z zakłamaniem, z ciemnotą i przeciętnością. Zdziera maskę obłudy nie oszczędzając nikogo, nawet współczesnych potentatów kapitalistycznego świata. Pożerany jest, jak sam mówi o sobie, przez potrzebę i żądzę sprawiedliwości i dlatego nie mówi i pisze, a krzyczy, mając nadzieję, że krzyk jego rozniesie się tysiącznym echem po ojczystej ziemi i zapali w sercach i sumieniach ludzkich pragnienia innego życia i gwałtowną żądzę odmiany.

Tymczasem spotyka go bolesny zawód i rozczarowanie. Współczesna Francja, która umiała okazać zainteresowanie karykaturalnie zniekształconemu portretowi Chrystusa, stworzonemu przez Renana — plecami odwraca się od pisarza.

Książki Bloya za jego życia nie ukazują się. Autor, którego odkrywa współczesny świat katolicki, skazany zostaje na banicję, cierpi głód, nędzę, jego dzieci marzną i umierają, on sam żyje prawie z żebraniny. Za życia otacza go jakby grobowe milczenie, nikt z nim nie chce polemizować, instynktownie cofają się przed jego atakami, jako broń najskuteczniejszą; chcą go zmusić do kapitulacji podejmując absolutne milczenie.

Współczesny świat burżujski spotyka jednak zawód. Bloy raczej zginie z głodu i z nędzy, aniżeli pójdzie na kompromis. Sam popełnia w swym życiu wiele błędów, ale ma odwagę i siłę odwrócić się z drogi zła i stać się człowiekiem wartościowym.

Nienawidzi przede wszystkim bogacza i „burżuja" — tę świnię, która chciałaby umrzeć własną śmiercią".

Ogarnia wzrokiem nie tylko rodzinną Francję, ale mierzy w całe społeczeństwo kapitalistyczne.

Podłość, chciwość, kołtuneria i okrucieństwo. Brak miłości, brak ofiarności, zaślepienie, głupota.

— A problem kolonii. Jest to sprawa paląca jak policzek.

— A przecież — chrześcijaństwo bez miłości nie jest chrześcijaństwem: jest w ogóle niczym.

Przemawiając 10.XII.1903 r. do grona robotników, powiedział Bloy: „Kiedyś, przed 3 tysiącami lat, Narodem Bożym był naród żydowski... Od czasów Jezusa Chrystusa Narodem Bożym jest każdy z nas: jest rzemieślnik, ślusarz, urzędnik, rolnik, poeta... Każdy kto jest ubogi, kto cierpi, kto jest poniżony".

— Katolicyzm, który nie ma oblicza społecznego miłosierdzia, nie jest katolicyzmem.

Kontynuatorem myśli Leona Bloy jest Jerzy Bernanos (1888—1948).

Bernanos znany jest u nas z swoich książek, jest on nam bliższy, współcześniejszy. I on przechodzi swoją ciernistą drogę wchodząc do literatury poprzez ataki oszczerstw, niezrozumienia, obojętności.

Kroczy jednak wytrwale naprzód z hasłem: „To, co śpiewam, jest nieśmiertelne".

— Trzeba najpierw żyć prawdą, pisze, a potem dopiero myśleć o kontemplacji. Zakłamanie trzeba leczyć na początku drogi, nie na końcu. Gdy kłamie dzieciak w szkole, to nie jest znowu tak wielki grzech, ale gdy kłamie kandydat na świętego, wtedy herezja wisi w powietrzu.

Z powieściami Bernanosa wkracza do literatury ksiądz. Każdy z jego księży ma w sobie pełnię swego urzędu.

— Prawda, mówi, że nawet zły ksiądz jest kranem łaski i że ten kran nie zatyka się nigdy. Ale komu przyjdzie do głowy szukać czystej wody pod nakrytą nawozem pompą? Dla tysięcy i setek tysięcy, zły ksiądz jest kompromitacją wiary.

„Kran łaski" nie zatyka się nigdy, ale to wcale nie znaczy, że jest rzeczą obojętną, jak on wygląda.

Na księdza czyha także pokusa mierności, która może zamienić życie księdza w awanturę absolutną i tragiczną. Świat „ludzi miernych" nie rozumie bowiem potrzeby ofiary i poświęcenia.

Święci Bernanosa zdają się być spleceni z siły i słabości. Są niezwalczeni wobec przeciwnika i są słabi, prawie niedołężni, w zwykłym, codziennym życiu.

— Świat, pisze Bernanos, cierpi na odejście od miłości. Wyzysk człowieka przez człowieka, krzywda społeczna, nadużycia, zgorszenia, hipokryzja są grzechami najcięższymi.

Gwałtownicy zdobywają niebo, nie ludzie mierni, obojętni i letni.

Zofia Lewandowska

Do Serca Twego

W książce Daniela Ropsa „Dzieje Chrystusa" jest rozdział zatytułowany „Serce Boga".

Przypomina on, że kult Najświętszego Serca Jezusowego skrystalizował się w roku 1670, gdy święty Jan Eudes, silny, zdrowy Normandczyk i niestrudzony misjonarz, ułożył odpowiednie nabożeństwo i mszę świętą. Kult ten rozpowszechnił się w jakieś pięćdziesiąt lat później, rozpoczęły się bowiem w Paray-le-Monial objawienia świętej Małgorzaty Marii Alacoque. Pius IX i Pius XI dodali kościelnym uroczystościom Serca Jezusowego wielkiego blasku.

Pełno jest — mówi autor — w Ewangelii danych, które wskazują, że Jezus był dostępny ludzkim uczuciom, że był zdolny odczuwać dla tego czy owego prawdziwą przyjaźń, serdeczność i tkliwość, znał, uczuwał ów tajemniczy pociąg, który sprawia, choć nie wiemy dlaczego, że jakąś istotę pragniemy poznać bliżej i zdobyć jej miłość. I tak, przedmiotem takiej właśnie specjalnej czułości był święty Jan, uczeń, który spoczywał na Jego piersiach. Także i dla onej rodziny w Betanii, dla której uczyni może najgłośniejszy, a ostatni ze swoich cudów, miał Jezus przyjaźń, o której wspomina Ewangelia. „A miłował Jezus Martę i siostrę jej Marię i Łazarza" (Jan XI, 5). Mało jest scen tak żywych, jak ta, gdy do Jezusa zbliża się bogaty młodzieniec i po krótkiej rozmowie z Nim, aby chował przykazania, jak przytacza Ewangelia, Jezus wejrzawszy nań, umiłował go. Jakże pełna prawdy i naturalności jest ta scena. W tym spojrzeniu jest cały Jezus, jest taki, jakim był w rzeczywistości.

Ale Chrystus, mówi dalej autor, to ktoś więcej jeszcze niż człowiek o wiernych i pełnych delikatności uczuciach w stosunku do kilku uprzywilejowanych.

Ta jego przyjaźń wzrusza nas, bo czyni Go nam bliskim. Widzimy w Nim coś więcej. Jezus daje dowody nigdy niewyczerpującej się dobroci względem wszystkich ludzi, względem tych wszystkich, którzy się do Niego zbliżają i błagają Go. Należy do tej kategorii istot, a właściwie jest ich wzorem, które zawsze na każde oczekiwanie odpowiadają miłością, które mają litość dla każdej nędzy. Łatwiej trafiają do Jego serca ci, którzy są nieszczęśliwi — wszyscy biedni i wydziedziczeni. „Błogosławieni ubodzy"! Okrzyk ten rozbrzmiewa w całej Ewangelii. Jezus potępia nie tyle posiadanie dóbr, ile pychę płynącą z tego posiadania. Nienawidzi tylko ludzi kryjących pod pozorami cnót hipokryzję upodlonej duszy.

On zaś, który jest samą czystością, w którym nigdy dostrzec nie można nawet cienia grzechu, ma dla grzeszników nieskończone miłosierdzie.

Dla czcicieli Serca Bożego, dla tych, którzy w pierwszopiątkowych modlitwach błagają o litość i miłosierdzie, książka znakomitego autora jest wielkim pokrzepieniem i umocnieniem w wierze.

Zapomniany skarb

Mamusiu, mamusiu, ksiądz idzie — wykrzyknęła wyglądająca przez okno Zosia. Mamusiu, skręca do nas!

— Co, do nas? — zapytała zafrasowana tą wiadomością matka. — Jakby nie dowierzając córeczce, sama wyjrzała przez okno. Rzeczywiście, nie pomyliła się Zosia. Ksiądz był już w podwórzu.

— Andziu — zawołała — uprzątnij kuchnię. Sama zaś pobiegła do pokoju, aby przygotować chorego męża na odwiedziny księdza. Za matką podreptała Zosia.

Tymczasem gość wszedł już do kuchni, pochwalił P. Boga, sięgając równocześnie ręką do wiszącej przy drzwiach kropielniczki. Niestety, zamiast wody święconej znalazł w kropielniczce grubą warstwę kurzu. Ot, posucha!

Była już godzina późna. Pożegnał więc ksiądz chorego, jego żonę i Zosię, która mu właśnie w szkole powiedziała, że jej tatuś chory.

Wychodząc, przez zapomnienie o „posusze", czy też przez przyzwyczajenie, wetknął ksiądz katecheta znowu rękę do kropielniczki. Jednak pani domu nie zauważyła tego ruchu.

Upłynął tydzień i ksiądz — wedle danej obietnicy — zjawia się z powtórnymi odwiedzinami. Teraz już wszyscy byli przygotowani na przyjęcie gościa. Pani domu oczekiwała go w kuchni. Ksiądz pozdrowił dom po chrześcijańsku i z uśmiechem wkłada rękę do kropielniczki. Jakie zdziwienie ogarnęło panią domu i Zosię, gdy ksiądz wyciągnął z niej... złotówkę.

— Uczciwą ma pani pomoc domową i nieciekawą, bo tę monetę włożyłem jeszcze w zeszłym tygodniu, no i nikt nie ruszył jej. Widocznie tu nie zaglądał.

Domyśliła się pani do kogo się to odnosi. Na drugi dzień w kropielniczce była już woda święcona. Odtąd codziennie rano, pierwszy raz wychodząc za próg domu, sięgała do kropielniczki, skąd wydobywała umieszczone tam przez Kościół św. „grosiki" — odpusty.

Skrzętnie je gromadził jej Anioł Stróż, któremu z roku na rok przybywało 365 „grosików", a nawet i więcej, bo czasem i przed udaniem sę na spoczynek żegnała się pani wodą święconą.

Wprawdzie kilkadziesiąt „grosików" odpadło, jako moneta fałszywa, bo czasem to przeżegnanie się było tylko czysto zewnętrzne, bez zastanowienia, ale co to znaczy wobec tak wielkiej zebranej sumy, na którą złożyły się akty 20 lub 30 lat.

A Zosia, gdy podrosła i dostała już rączką do kropielniczki, brała piękny przykład z mamusi.

J. Tr.

Pierwszy dramat dziecięcej duszy

Było to w czasach, gdy nie rozstawałam się prawie z tuzinem lalek i gdy wierzyłam w każde słowo osób dorosłych, jak w Ewangelię. Nie odróżniałam wtedy prawdy od kłamstwa, dobra od zła o tyle, że każde słowo, z ust kochanych pochodzące, było ważkim uzupełnieniem moich dziecięcych wiadomości lub po prostu odkryciem w dziedzinie dotychczasowych pojęć. W tym to czasie zdarzyło się po raz pierwszy, że usłyszałam, na własne uszy usłyszałam, jak o kimś drogim, bliskim, o kimś kochanym — mówiono źle. Miałam ciotkę mieszkającą daleko. Ta ciocia, odkąd siebie i pierwsze swoje odczucia przypomnę, była dla mnie niedoścignionym ideałem, czymś w rodzaju bóstwa, któremu w głębi żarliwego serduszka składałam hołdy. Miała piękną twarz, cudownie piękne oczy, głos brzmiący jak muzyka. Kilkokrotnie obdarzyła mnie pięknymi i bardzo kosztownymi zabawkami. Uwielbiałam ją. Nie z powodu zabawek, ale że mówiła tak słodko, że patrzyła na mnie tak mile, że mię gładziła po włosach. Była z pewnością dobra jak anioł. Każda moja lalka na jej pamiątkę nosiła drogie imię: Ludmiła.

I oto kiedyś leżąc w łóżeczku — usłyszałam o tej najdroższej cioci rzeczy dziwne, przerażające, szkaradne. Usłyszałam, że komuś uczyniła ogromną krzywdę, że lubi intrygować, że nie ma serca, że kocha tylko siebie, że... W sąsiednim pokoju byli goście. Drzwi zostawiono nie domknięte. Obudził mnie nie tyle gwar głosów, ile może właśnie dźwięk tego przedziwnego imienia. Leżąc z otwartymi oczami, słuchałam, zrazu półprzytomnie, potem z oburzeniem, ze zgrozą, z jakimś głębokim żalem — niemal z rozpaczą. Słuchałam, co mówili starsi, mądrzy i doświadczeni ci, którzy wiedzą wszystko i nigdy się nie mylą — słuchałam, a za każdym słowem gmach moich złudzeń, mojej wiary dla cioci Ludki rysował się i pękał. To było straszne. Nie rozumiałam słów, nie ogarniałam świadomością wszystkiego, ale to było straszne. Więc ciocia Ludka mogła być zła, przewrotna, dokuczliwa — robić ludziom krzywdy i nie mieć serca? Ona, taka dobra, śliczna, ona, która głaskała mnie po głowie najpiękniejszą na świecie ręką a o której mówiłyśmy z mamusią tyle razy tak pięknie. Przecież mamusia mówiła kiedyś do cioci: „Ludko, jesteś naprawdę za dobra" i mnóstwo innych, bardzo pochlebnych zdań. Teraz — głos mamy rozbrzmiewał w sąsiednim pokoju dziwnie surowo, twardo, prawie niechętnie. A potem — inne znajome głosy. Wuj, tatuś, jeszcze jedna ciocia i mój dorosły kuzyn, co służył w wojsku. Każdy dorzucał jakieś słowo... Nie mogłam opanować żałości. Rozpłakałam się głośno. Wszyscy wtargnęli do pokoju. Pytali, co się stało, czy mnie co boli, czy się przelękłam? Kuzyn, co służy w wojsku oświadczył: „Pewno się coś dziecku przyśniło". Uspokajali mnie, ale daremnie. Łkałam, dławiłam się od łkania. Cały żal, cała rozpacz po utraconych złudzeniach rozpętała się w moim sercu. Wreszcie — mamusia wyprawiła wszystkich twierdząc, że prędzej się uspokoję. Po długim, długim czasie powiedziałam jej wszystko. Powtórzyłam usłyszaną rozmowę — nawet te słowa i rady, które mi były nieznane. Pytałam, czy to prawda, czy ciocia Ludka naprawdę nie ma serca i jest przewrotna — i lubi intrygować? Mamusia tłumaczyła mi, że nie należy słuchać rozmowy starszych. Że pewno źle zrozumiałam. Że ciocia Ludka nie jest wcale zła, choć naturalnie nie jest także aniołem, jak wszyscy, zresztą ludzie. Ma i ona swe wady, ale ma i zalety. I że powinnam ją kochać jak dawniej... Uspakajałam się powoli lecz głosem drżącym ciągle od żalu i buntu powtarzałam ze skargą: — Ale po coście tak mówili... Po coście to mówili. To takie okropne! Tak, to było okropne. Wtedy nie potrafiłam tego nazwać. później z latami, kiedy serce umiało cierpieć mniej widocznie, potrafiłam już znosić mężniej każde rozczarowanie, przyjmować z obojętniejszą twarzą każdą rysę na drogim, wypieszczonym marzeniu.

Odzieranie ze złudzeń zawsze boli, ale w dzieciństwie może się stać tragedią. Bądźmy ostrożni, nie odzierajmy brutalną ręką tego, co stanowi czar dzieciństwa — wiary w ludzi.

W. M.

Teściowa

Autentyczna rozmowa w pociągu:

„...żona trochę niedomaga".

„I ty wyjeżdżasz"?

„Przyjechała teściowa, otoczy ją najserdeczniejszą opieką".

„Ja właśnie też dlatego wyjeżdżam z domu, że przyjechała teściowa!"

„Człowieku, moja teściowa jest idealna! warta najpiękniejszego pomnika".

„O, żeby tak moja teściowa zechciała tylko umrzeć, nie pożałowałbym pieniędzy na wieńce i pomnik!"

A więc „teściowa" i „teściowa".

Jedna czczona i szanowana, druga mniej niż tolerowana.

Dlaczego?

Pierwsza teściowa jest kobietą rozumną, zna granice swoich praw. Wie ona, że dorosłe dzieci nie wolno traktować jak niemowlęta! Nie jest więc żądną władzy, ani przeczuloną mamusią, tylko rozumną, doświadczoną i taktowną przyjaciółką. Wie, kiedy należy się usunąć i trzymać się na uboczu, kiedy zaś podać swym dzieciom pomocną dłoń. Nie wmawia w siebie, że dzieci, te dorosłe dzieci, które mogą mieć w codziennych drobiazgach życiowych swoje własne upodobania, będą nieszczęśliwe bez jej ustawicznych rad i wskazówek! Owszem, niech zaznają chwilowej niewygody, byle by nie były pozbawione tej prawdziwej radości, jaką odczuwa każdy normalny człowiek, gdy sam znajdzie wyjście z trudnej sytuacji.

Dar Boży rozumu rozwija się w nas w miarę, jak z niego korzystamy. Dlaczegoż by rozumna matka-chrześcijanka miała pozbawiać tych praw rozwoju swe dorosłe, normalne dzieci?

Był więc okres, gdy dziecię nosiła pod sercem, następnie tuliła do piersi, później prowadziła je za rączkę. Nadszedł czas, dziecię szło samo obok matki, potem obserwowała je przy pracy... Dziś dorosłe dziecko musi iść samodzielnie przez życie.

Znane są matce słowa Chrystusowe: Wstępując w małżeństwo „Opuści człowiek ojca i matkę i dwoje będą stanowić jedno" (Mat. XIX, 5).

Dwoje...

Teściowa, którąby chciała przy dzieciach w małżeństwie utrzymać swe dawne stanowisko, stałaby się klinem, który by to małżeństwo rozbijał!

Jeśli teściowa nie mieszka przy młodej rodzinie, łatwiej utrzymać należny stosunek. Gdy jednak, jak to się często zdarza, musi zamieszkać przy dzieciach, niech zawczasu uświadomi sobie, że panią domowego ogniska jest już nie ona, ale jej synowa lub córka.

Jakaż jest wobec tego rola teściowej? Gdy ojciec i matka idą do pracy dobra teściowa to Anioł-Stróż domu i dzieci.

O tak, właśnie! Teściowa — to Anioł Stróż rodziny.

By tak było, musi ona mieć wszystkie cechy tego dobrego ducha. Ma przede wszystkim tak jak on, stać w cieniu i czynić dobrze, niepostrzeżenie, bez podkreślania siebie. Tej, która głęboko przeżyła święte prawdy religijne, nie przyjdzie to z trudnością. Wszak ona w każdym okresie swego życia wyrabiała w sobie odpowiednie zalety charakteru. Jako dziewczę — z pomocą dobrej matki, wyrobiła w sobie religijność i obowiązkowość. Jako matka ćwiczyła się w cierpliwości i poświęceniu, z których wypłynęła pogoda ducha i zapomnienie o sobie. Kochającym sercem wczuwała się we wszystkie potrzeby swego dziecka. Uczyła się i zasięgała rady jak postępować, by to dziecko rozwijało się normalnie pod względem fizycznym i duchowym. Zdobyła miłość i zaufanie swych dzieci i potrafiła je utrzymać, bo kochała rozumnie, po Bożemu.

Po tylu latach pełnej poświęcenia pracy jej miłość nabrała cech, które wyliczył św. Paweł w rozdz. XIII listu do Koryntian. Zapomnienie o sobie, pogodą, życzliwość, dyskrecja, pełne godności i taktu postępowanie uczyniły ją pożądaną, a nawet niezbędną w rodzinie.

Stała się żywym przykładem jak postępować, by zdobyć szczęście głębokie i trwałe, by je rozsiewać dokoła.

Szczęście... Wszyscy go pragną, ale mało kto rozumie i pamięta, że „szczęście" to coś, co się „z części" składa!... Z drobnych, czasem bardzo drobnych cząsteczek, z chwil życia po Bożemu przeżytych.

Nie wiedziała o tym widocznie ta druga teściowa, której widok odstraszał, która cierpiała i rozsiewała cierpienie.

Nie rozumiano jej! Źle tłumaczono jej najlepsze zamiary, lekceważono rady i wskazówki... Dlaczego? Może dlatego, że nie liczyła się ze zdaniem innych... uważała, że tylko ona ma rację... Nie potrafiła wznosić się wyżej, ponad codzienne drobiazgi życiowe...

Może dlatego, że przy nieporozumieniach nie szukała winy w sobie, tylko u innych... Że z nadmiaru obolałego serca zjadliwą goryczą karmiła przygodnych słuchaczy. Nie była „niewiastą mężną", więc unikano jej... Kto temu winien? Może wychowanie? Ale napewno brak pracy nad sobą!

Pr.

Choć nam przyjaźń to życie w ziemski raj zamienia,
Nie wolno dla przyjaźni poświęcać sumienia.
Ks. A. Krasiński

W wiosenny wieczór

Opowieść z czasów Mieszka I.

I.

Była wiosna. Ogródek, znajdujący się w obrębie grodu, tonął w białym kwieciu. Płatki kwiecia padały od czasu do czasu z drzew owocowych na czarną żyzną ziemię ogródka lub na ławkę, stojącą pod wielką, starą jabłonią. Jeden z płatków frunął na kolana Weroniki, siedzącej w zamyśleniu na dębowej ławie wykonanej przez grodowego cieślę starego, dobrodusznego Lisława.

Zmierzch wieczorny zaczął powoli zapadać, opuszczając swą sinawobłękitną tkaninę w obręb grodu, w wielki podwórzec zamkowy z swymi zabudowaniami gospodarskimi, ogródkiem i studnią. Krótki cień zaległ, wypełniając wnętrze bramy grodu. Cisza panowała w przyrodzie, w koło. Gród warowny rozłożył się na wysokim wzgórzu obrosłym krzewami leszczyn i dzikiego bzu, wznoszącym się nad rozległym jeziorem, które błyszczało w blaskach cytrynowych zorzy bledniejącej teraz na niebie w dali. Z lewej strony, na małym wzniesieniu, stała świeżo wykończona budowla kościółka. Strzelista wieża, w której miano jutro zawiesić dzwony, rzucała smukły cień poprzez drogę prowadzącą do najbliższego osiedla. Weronika patrzała na spadłe białe płatki, potem palcami dotknąwszy srebrnego krzyżyka zawieszonego na szyi, skierowała wzrok na drogocenny przedmiot ten, otrzymany z rąk kapłana Donimira. Przypomniała jej się przy tej sposobności cała scena, cała rozmowa z świątobliwym człowiekiem, który jej dużo mówił o chrześcijańskiej wierze, o Bogu, przedstawił jej w pięknych słowach cały żywot Jezusa Chrystusa, mówił o przypowieściach Chrystusa.

Zwłaszcza przypowieść o siewcy była pełna głębokiej treści i znaczenia. Kapłan Donimir mówił wolno i wyraźnie ciesząc się, że znalazł w Weronice wierną i pojętną bardzo słuchaczkę.

— Ziarno na urodzajnej glebie — jakby jeszcze słyszała jego słowa — oznacza tych, którzy słuchają nauki, zachowują ją w prawym i chętnym sercu i owoc przynoszą w wytrwałości.

— Ziarno, to słowo Boże? — pytała się wtedy Weronika rozumiejąc sens tej przypowieści.

— Tak. Powiedziałaś — odrzekł jej. — I w twoje serce padło ono, owoc przyniesie stokrotny.

Weronika była wdzięczna kapłanowi za ten wieczór rozmowy prowadzonej w komnacie na grodzie. Zmierzchało wtenczas tak samo jak dziś. Jeno był jeszcze luty, po drogach błoto i nad jeziorem i polach gdzieniegdzie leżał jeszcze śnieg. Wtedy on, opuszczając gród, następnego rana spotkał Weronikę przy studni zamkowej. Wydobył krzyżyk srebrny i podarował jej, a dowiedziawszy się od dowódcy załogi grodowej, który był opiekunem Weroniki, że oczekuje swego rycerza Bolesława, który udał się przy boku księcia tegoż grodu z ważną misją do Czech, zapewniał, że rycerz jej wróci na początek wiosny. A wiosna teraz była. W całej krasie kwiecia swego, w krasie świeżej zieleni. Weronika podniosła głowę, spojrzawszy na drzewa stojące w kwietnej, białej szacie.

— Tak — szepnęła — nauka Chrystusa jest głęboka i ci którzy jej słuchają, przyjmując w sercu swoim słowo są szczęśliwi. Weroniki twarz rozjaśniła się. Podniosła spadły akurat koło jej nóg płatek kwiecia jabłoni. Zaczęła mu się przypatrywać w pewnym zamyśleniu. Nagle ciszę wieczorną przerwał skrzyp łańcucha przy studni. To stara Stanisława wyciągała z mrocznej głębi studni wiadro zimnej, kryształowej wody.

Weronika wstała z ławki. Wolno idąc dróżką opuściła ogródek. Skierowała kroki swe w stronę strażnicy. Weszła niebawem w gęsty cień zabudowań, a stamtąd doszła do wąskich schodów prowadzących do jej komnaty, z której okna roztaczał się widok na daleki bór i rozległe jezioro. W komnacie panował gęsty mrok. Weronika zapaliła smolne łuczywo i zatknęła je w żelaziej oprawie przy ścianie. Światło czerwonawe rozpraszało jako tako ciemność. Po tej czynności chciała akurat usiąść na skrzyni ładnie wykonanej stojącej pod ścianą, gdy wtem niespodzianie wśród ciszy wieczornej rozległ się odgłos rogu strażnika grodowego, znak, że ktoś zbliża się do grodu.

— Weroniko! — usłyszała swoje imię. Do komnaty wszedł jej opiekun dowódca załogi grodowej Talwid. — Weroniko, spójrz przez okno i zobacz kto wraca.

Weronika szybko zbliżyła się do oprawnego w cienki róg okna, rozwarła je i spojrzała na drogę prowadzącą do grodu. Serce jej mocno biło w piersiach. Jeźdźcy na koniach byli już blisko fosy. Rozeznała w jednym z nich księcia i w drugim rycerza Bolesława. Radością zalśniły jej oczy. Wśród skrzypu łańcuchów spuszczono most zwodzony i otwarto bramę. W hełmach rycerzy zalśniły światła pochodni trzymane w rękach strażników. Słychać było głuchy tętent kopyt końskich po moście zwodzonym.

II.

Oba konie zabrał stary stajenny, odprowadzając je do stajni. Książę udał się w stronę swoich komnat, gdzie u wylotu ganka oczekiwał go rycerz z płonącą pochodnią w ręku. Rubinowy blask odbijał się drżąco w wodzie kamiennego basenu. Weronika pociągnęła rycerza Bolesława do rozkwitłego ogródka. Usiedli na ławce.

— Nareszcie wróciłeś — cieszyła się. — Nareszcie, kochany!

— Tak, wróciliśmy z Czech. Długa to była podróż, o długa.

— Z nieznanego mi kraju, z Czech. — I nuż zaczęła Weronika wypytywać go. A on jej, na pytania wszystkie z radością odpowiadał. Zainteresował Weronikę tym dotąd nieznanym krajem, jego kulturą i sztuką, obyczajami i życiem. Mówił o wierze chrześcijańskiej, o Chrystusie, o kościołach, o świątobliwych mężach. A Weronika słuchała pilnie.

— A wiesz Weroniko, że do naszego kościółka przybędzie kapłan Donimir?

— Kto?! — zawołała, nie wierząc w pierwszej chwili własnym uszom.

— Kapłan Donimir — powtórzył Bolesław.

Weronika położyła dłoń swoją na ręce Bolesława, patrząc z pewnym zdziwieniem mu w oczy.

— Doprawdy? — pytała.

— Tak — odpowiedział. — Wiesz, Weroniko, powiedziałem sobie, że tylko kapłan Donimir będzie mi udzielał nauki o Chrystusie, o wierze chrześcijańskiej. Tylko on. Myślałem o tym w czasie drogi. Weronika uradowała się.

— Bolesławie! — zawołała. — To było moim marzeniem, gdy pierwszy raz ujrzałam kapłana i z nim rozmawiałam, gdy mi mówił tak pięknie o Bogu, o nauce jaką głosił Chrystus Pan, który swoją śmiercią na krzyżu odkupił świat. Myślałam wtedy, szkoda, że kapłan jest tylko gościem księcia i opuszczając gród nasz nie zawita już nigdy do nas. A tu?... Doprawdy. Co za radosne wiadomości.

Bolesław uśmiechnięty, szczęśliwy spoglądał na dziewczynę.

— Słuchaj, kochany — rzekła — od chwili twojego powrotu, to znaczy, od tegoż wieczoru wierzę mocno, że wchodzimy wraz z wiosną pełną kwiecia i zieleni świeżej w życie nowe. Albowiem kochamy się. Miłość nasza czysta i piękna, jak kryształ wód leśnych strumyków. Tak, ten cichy wieczór wiosenny będzie pamiętny. Na zawsze dla nas pamiętny.

— Na zawsze, kochana Weroniko — odrzekł rycerz. Po chwili dodał: Co ty na to, gdy ci teraz powiem, że za dni 15 zaślubiny nasze?

— Och, Bolesławie! — zawołała zaskoczona. — Czy ja dobrze słyszałam? Zaślubić mnie chcesz?... — Więcej nie mogła mówić, tylko milcząco pełna szczęścia położyła dłoń swoją na silnej męskiej ręce rycerza i — tak trwali oboje.

Lekki, chłodny wiatr wiosenny przewiał po koronach rozkwitłych jabłoni i strącał coraz więcej płatków, które na podobieństwo śniegu tworzyły kobierce białe pod drzewami...

Adam Póżniacki

PRZYSŁOWIA NA CZERWIEC

Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po świętym Duchu chodź często w kożuchu.

Od św. Medarda czterdzieści dni szarga (8 czerwiec).

Na święty Wit słowik cyt (15 czerwca).

I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Święty Jan, przynieś oleju dzban (olej z rzepaku, który się w tej porze zbiera) (24 cezrwca).

Gdy się święty Jan rozczuli,
to go dopiero Najświętsza Panna utuli (tzn., że gdy w dzień św. Jana deszcz pada, nie ustaje aż w dzień Nawiedzenia N. Panny Marii — 2 lipca).

Kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba deszcz uprosi.

Wydawca: Włocławska Kuria Diecezjalna
Redaktor: Ks. Stanisław Piotrowski
Redakcja i Administracja: Włocławek, ul. Waryńskiego 4. Tel. 16-49.
Zamówienia na prenumeratę i kolportaż parafialny przyjmuje P. P. K. „Ruch" Bydgoszcz, ul. Armii Czerwonej 6. Konto PKO. VI-231/110.
Prenumerata z przesyłką pocztową kwartalnie zł 6.—, półroczna zł 12.—, roczna — zł 24.—
BZG. Zakład nr 17, Włocławek, Waryńskiego 4.
Nr. zam. 886 — 14.5.52 — E-3-15687 — 22.700
Druk ukończono 10.6.52.